**Dwa sekrety skutecznej katechizacji i tych sekretów praktyczne oblicza.**

**Dwa sekrety skutecznej katechizacji i tych sekretów praktyczne oblicza.**

Nie ma to jak zacząć od dobrego dowcipu. Jest jednak ryzyko – co będzie jak opowiem dowcip a nikt się nie zaśmieje?

Spróbujmy jednak – jest ryzyko, jest przyjemność.

Bywa tak, że proboszczowie, przed wizytacją biskupią wspinają się na poziomy nieobecne codziennie. Pewien proboszcz zaplanował, że w czasie wizytacji modlitwa wiernych będzie śpiewana. Przygotował kantora, wszystko przećwiczono. Jednak proboszcz, w napięciu przedwizytacyjnym zapomniał jednego – powiedzieć o tym organiście.

Gdy kantor zaczął śpiewać pierwsze wezwanie: „Módlmy się na naszego biskupa Wojciecha…”, zdezorientowany organista rzucił się na klawisze i odegrał: „…który stworzył niebo i ziemię!”

Dodam, że było to przed wojną, nie w tej diecezji, a zbieżność imion jest absolutnie przypadkowa.

\*\*\*

Bardzo dziękuję za docenienie w mojej osobie wiejskich proboszczów. Gratuluję organizatorom odwagi i wiary, że ktoś bez naukowych tytułów, ktoś na co dzień katechizujący Motylki, Biedronki i Leśne Ludki, bo to jest w ostatnich latach moja specjalizacja, może mieć coś ciekawego do przekazania.

Odwagą organizatorów jest też śmiałe przypuszczenie, wręcz brawura, że Mazowsze może czegoś nauczyć Wielkopolskę.

\*\*\*

Chcę mówić o dwóch sekretach skutecznej katechizacji a potem pokazać kilka praktyk na tych sekretach opartych.

Jakiej spodziewam się reakcji?

To zależy od słuchacza! Dla jednego będzie to błysk zrozumienia, dla innego kamyk włożony do buta, który zniszczy komfort chodzenia utartymi ścieżkami. Dla innych będzie to może potwierdzenie i zachęta do trwania w obranym kiedyś kierunku.

Wszystkie te reakcje, nawet ten kamyk w bucie, może mieć wartość.

Mam nadzieję, że nikt nie będzie trzymał się dwóch strasznych dla prelegenta myśli: „o czym ten facet mówi?” i „kiedy wreszcie skończy?”

**Po pierwsze skuteczność**

Zacznijmy od pytań, które coraz częściej i natarczywiej stawiają księża, zadają katecheci:

„Coraz mniej dzieci i młodzieży w kościele. Co robić?”

„Zanika praktyka pierwszych piątków. Co robić?”

„Załamanie powołań. Co robić?”

„Co druga para zamawiająca ślub jest z doświadczeniem konkubinatu. Co robić?”

„Rodzice olewają spotkania przed Pierwszą Komunią. Co robić?”

„Młodzież masowo wypisuje się z religii. Co robić?”

Z całą pewnością żyjemy w ciekawych czasach. Żyjemy też nie tylko w ciekawych, ale też trudnych czasach. W tych trudnych i ciekawych czasach przyszło nam wierzyć i katechizować.

Ów trud wymaga wzniesienia się nad poziomy. Nie wystarczy standard i rutyna. Nie wystarczy robić tak jak robiło się przez ostatnie 29 lat. Potrzeba umiejętności, by czasem to, do czego byliśmy bardzo przywiązani, zakwestionować, odwrócić i spróbować czegoś zupełnie nowego.

Zebraliśmy się w tym miejscu jako katecheci.

Mam przekonanie, że w każdym z nas jest pragnienie, by nasza praca miała sens. Tym sensem jest owoc, nawet odłożony w czasie, ale owoc. Wiele potrafilibyśmy dać z siebie, gdybyśmy widzieli, że nasza praca ma sens. A tym sensem jest owoc, tym sensem jest skuteczność katechezy, widok, że nasze wysiłki zamieniają się w wiarę i chrześcijańskie życie naszych uczniów.

Wiele byśmy dali, za odkrycie jakiejś formuły, sekretu, sposobu, algorytmu, metody, której zastosowanie sprawi, że nasza praca będzie skuteczna, tym samym będzie miała upragniony sens.

Jakie to są sekrety?

Zacznę anegdotycznie…

Pewien młody katecheta zrezygnował ze swojej pracy i udało mu się dostać do… szkoły policyjnej. Zdał testy psychologiczne i sprawnościowe i został przyjęty.

Przeżywa teraz intensywne szkolenie i dzieli się ze swoimi znajomymi hasłem, które może nie jest w oficjalnym programie szkoły policyjnej, ale powtarzane jest tam często i gęsto: „pała i gaz, pała i gaz, pała i gaz”.

Mimo, że w tej metodzie mamy dwa elementy, to pała i gaz nie są sekretami skutecznej katechizacji.

Może niektórych rozczarowałem, ale metod skutecznej katechizacji musimy szukać gdzieś indziej.

Moje osobiste poszukiwania tej formuły przybrały konkretną formę pytań o kształt przygotowania młodzieży do Bierzmowania i dzieci do Pierwszej Komunii.

Znalazłem tę formułę, ale nie jest to mój wynalazek, moja zasługa, raczej odkrycie tego, co Kościół już dawno odkrył, stosował i poleca czynić.

W ciągu mojej pracy stworzyłem przed laty popularny, można już chyba użyć tego słowa, program przygotowania do bierzmowania: „Szkoła życia z Bogiem”. Z niektórymi z was spotykałem się w Gnieźnie, Inowrocławiu i ostatnio w Chodzieży, gdzie mówiłem o tym programie.

Stworzyłem też stosunkowo niedawno program: „Z mamą i tatą do Pierwszej Komunii Świętej”. Korzystając z okazji zapraszam na warsztaty, które tu w Gnieźnie będą 12 września.

Dlaczego o tym mówię? Otóż, stworzyłem te programy, jednak od samego początku, choć jest to niezrozumiałe i błędne marketingowo, głoszę, że nie ma naprawdę znaczenia jakikolwiek program, jakiekolwiek gotowce, że jest to sprawa wtórna i naprawdę nieistotna, wobec pewnych fundamentów na których wszystko się opiera.

To co jest istotne to pewna „filozofia” działania. Bez jej zrozumienia, bez jej ducha nie pomoże najlepszy program. I odwrotnie – stosując się do tej filozofii wszystko będzie nam pomagać i prowadzić do dobrego.

U podstaw naszego działania leżeć musi to co papież Franciszek nazywa pastoralnym czy też duszpasterskim nawróceniem. Potrzebna jest zmiana myślenia. Bez tej zmiany, bez tego nawrócenia, nawet jeśli dostaniemy nowe narzędzia to działać będziemy po staremu.

Mały przykład. Odebrałem kiedyś telefon od księdza, gdzieś z północy Polski. W rozmowie usłyszałem, że ów ksiądz kupił mój program do bierzmowania, ale program ten „nie działa”.

Poprosiłem o więcej szczegółów. Wyszło na to, że ten ksiądz zakupił moje materiały, ale to co robił, czy może raczej „wyprawiał” z kandydatami było absolutnym przeciwieństwem mojej propozycji.

Wziął nowe narzędzie, ale działał po staremu.

W swoich materiałach do bierzmowania umieściłem broszurę, która streszcza ową „filozofię” działania. Dałem jej podtytuł: „Bardzo dobrze biegniesz… sprawdź tylko, czy w dobrą stronę!”

Podobną broszurę – założenia – umieściłem w pakiecie komunijnym. Dla ważności tych założeń, we wstępie do głównych materiałów napisałem: „Przysięgnij, że przeczytałeś albo przeczytasz broszurkę: **Z mamą i tatą do Pierwszej Komunii. Nowa (stara) wizja przygotowania dzieci. Pastoralne nawrócenie księży, katechetów i rodziców.**To bardzo rozwinięty wstęp, który stanowi „filozofię” – zasady tego programu. Bez ich zrozumienia i przyjęcia bezsensem jest korzystać z tych gotowych pomocy i rozwiązań.”

Oczywiście nie chodzi o proste przeczytanie, ale pomyślenie, odważny namysł i decyzję, równie odważną, by zmienić swoje myślenie, by nawrócić się pastoralnie, jeśli jest to potrzebne.

I tu jest klucz, bo niezbyt chętni jesteśmy do zmiany myślenia. Przyzwyczailiśmy się do kolein, w których tkwimy. Nie chcemy z nich się wyrwać, nawet jeśli oczywistym jest, że prowadzą nas one donikąd.

Z obu tych broszur obficie korzystam w tym wystąpieniu.

\*\*\*

Pozwolę sobie na pewną dygresję, która zilustruje problem naszego upartego trwania przy starych, sprawdzonych i… nieaktualnych, niedziałających rozwiązaniach.

W pewnym dużym mieście, na dużym osiedlu, budowano duży kościół. Ewidentna potrzeba – było ściernisko a powstało oto wielkie blokowisko. Niezwykłym wysiłkiem proboszczów i parafian, wielkim nakładem pracy i finansów, powstała świątynia.

Jest piękna architektonicznie, dominuje nad okolicą.

Była to parafia, gdzie potrzebna była świątynia. Blokowisko zaludnione młodymi rodzinami. Dwie potężne podstawówki, każda pracująca na dwie zmiany. W roczniku 600 dzieci przygotowujących się do Pierwszej Komunii.

To wszystko prawda, tylko, że obecnie (po czterdziestu latach) jest tam już jedna tylko podstawówka pracująca na jedną zmianę. Dzieci do Komunii jest mniej niż setka.

Ci młodzi rodzice sprzed 40 lat są już dziadkami. Ich dzieci mieszkają na kolejnym blokowisku, w innej dzielnicy miasta.

Blokowisko stoi. Czy będzie stało za lat 50? Musi przyjść czas, gdzie technologia każe burzyć wielką płytę zanim ta sama zacznie się zawalać.

Ludzie wyprowadzają się na obrzeża miasta, taka jest teraz tendencja. I zostanie wielki park, z wielką świątynią w środku.

Kiedyś jeden z księży powiedział, że kościoła nie można budować byle jak, bo służyć będzie kilkaset lat. Była to prawda – kiedyś. Obecnie na takie twierdzenie trzeba odpowiedzieć: „czyżby?”

Puenta tej historii… W nowej dzielnicy, tej gdzie przeprowadziły się dorosłe dzieci z parafii o której opowiadałem, ogromnym wysiłkiem proboszcza i niektórych parafian, buduje się nowy kościół, którego większość ludzi nie chce, dla których jest to kompletnie obojętne. Buduje się kościół, tak jak zawsze się budowało, na setki lat. Buduje się „porządnie” – beton, stal, cegła, wieża.

A może przyszedł czas pastoralnego nawrócenia? Czas zrozumienia, że kościoły należy budować tak jak Biedronki i Lidle? Szybko, tanio i funkcjonalnie? Tak, by łatwo ogrzać i wietrzyć? Nie na setki lat a na kilka lat. Jak potrzebujemy więcej to przedłużamy albo zbudujemy gdzieś dalej drugie. Jak potrzebujemy mniej to skracamy albo rozbieramy, by postawić coś mniejszego.

Jeden z księży, którzy przed laty pojechali na Ukrainę dzielił się taką refleksją: Gdy upadł Związek Radziecki i otworzyły się granice przyjechaliśmy na Ukrainę i zaczęliśmy odbudowę kościoła. Dosłownie – kościoła jako budowli. Oddawano parafiom świątynie zamienione na kina, magazyny, muzea.

Były często koszmarnie zniszczone, zawilgocone, zagrzybione.

Remontowano je, szukano pieniędzy, Polska i świat pomagał.

Udało się w dużej mierze. Uratowano wiele cacuszek historii.

Jest tylko jeden problem – wcale te świątynie nie wypełniły się ludźmi, tak jak planowano.

W tym samym czasie, korzystając z tych samych otwartych granic, na Ukrainę zaczęli przyjeżdżać pastorzy z rozmaitych wspólnot protestanckich. Zaczynali kompletnie od zera, ale nie przejmowali się żadnym kościołem – budowlą. Wynajmowali salę w szkole czy domu kultury i inwestowali w człowieka.

Zapewne tu czy tam owa inwestycja polegała na kupieniu sobie wiernych, ale w zdecydowanej większości chodziło o odkrycie co tak naprawdę w Kościele jest ważne.

Można paradoksalnie powiedzieć, że to protestanci przyjęli nauczanie św. Jana Pawła II z „Redemptor Hominis”, że to człowiek jest drogą Kościoła.

Czy człowiek jest drogą katechety? Czy człowiek jest drogą proboszcza?

Nie jest łatwo zmieniać swoje myślenie.

\*\*\*

Na marginesie, zupełnie gratisowo, mam pastoralny pomysł dla każdej diecezji.

Pomysł polega na tym, by wyznaczyć jednego bystrego księdza, zagwarantować mu nietykalność, a on społecznie albo za niewielką pensję, będzie miał za zadanie krytykować i szydzić z każdego kurialnego i biskupiego pomysłu.

Duszpasterskie koleiny i duszpasterskie pomysły – wydmuszki grożą wszystkim, od katechety, przez proboszcza, kurialistę, do biskupa.

Taki szyderca na etacie, mógłby nas wybijać kolein, z przyjemnego, choć złudnego, dobrego samopoczucia.

**Dwa sekrety**

Wracamy do tematu i czas na ujawnienie dwóch sekretów udanej katechizacji.

Jak mówiłem, nie jest to moje odkrycie. Jest to odkrycie i doświadczenie Kościoła sprzed wieków, z czasów, to ważne, kiedy Kościół dynamicznie się rozwijał.

Jest pewna księga liturgiczna, która zawiera w sobie te starożytne sekrety. Ma już prawie pięćdziesiąt lat. Jest pewnie w każdej parafii, bo pewnie rozesłano ją, gdy została wydana, z kurialnego rozdzielnika.

Jest to księga w zasadzie nieużywana. Podczas, kiedy inne, obrzędy pogrzebu czy mszał, są czasem zmaltretowane niemożebnie, to ta wygląda jak nowa.

Szukamy po świecie cudów i programów, a tam wszystko jest!

Już dobrze – mówię. Ta księga nosi tytuł: **„Obrzędy chrześcijańskiego wtajemniczenia dorosłych.”** Mówi ona o tym w jaki sposób przygotować dorosłych do przyjęcia chrztu, bierzmowania i komunii. Księga ta została opublikowana w 1972 roku a jej polskie wydanie mamy od 1987 roku.

Ktoś jednak może powiedzieć: „Miało być o sekretach skutecznej katechizacji a jest o chrzczeniu dorosłych. To są różne sprawy”.

Okaże się jednak, że wcale nie takie różne.

Księga rzeczywiście i oczywiście traktuje o przygotowaniu do chrztu dorosłych osób, ale ma w sobie czwarty rozdział, który jest zatytułowany: „Przygotowanie do bierzmowania i Eucharystii dorosłych, którzy przyjęli chrzest jako dzieci, ale nie otrzymali pouczenia w wierze.”

Wyrażenie z tego tytułu – nie otrzymali pouczenia w wierze – jak ulał pasuje do katechetycznej rzeczywistości naszych szkół. Pasuje też przygotowanie do bierzmowania i Eucharystii, bo są to istotne elementy naszej katechetycznej pracy.

Ten czwarty rozdział, o którym wspomniałem, jest bardzo krótki. W zasadzie to zostajemy odesłani do całości księgi. Tych, co nie otrzymali pouczenia w wierze mamy tak prowadzić jak dorosłych prowadzi się do chrztu.

Czyli wreszcie jak?

Księga odpowiada, że trzeba im dać ewangelizację i katechumenat. To są dość oczywiste rzeczy, ale to nie są te dwa sekrety. Ewangelizacja i katechumenat są bardzo pojemne znaczeniowo. Do tego stopnia, że niejeden ksiądz twierdzić będzie, że ewangelizuje a tymczasem mistrzowsko łamie młodzieży kręgosłupy.

Sekret leży w klimacie – glebie, na którą pada ziarno głoszonego Słowa. Sekret to odpowiedź co się musi wydarzyć, by możliwa stała się ewangelizacja i katechumenat, albo raczej by ewangelizacja i katechumenat były skuteczne.

Zdradzam sekret. Sekrety dobrej katechizacji (i ewangelizacji też) to nie „pała i gaz”, ale wspólnota i modlitwa.

Mówiąc dokładnie, to doświadczenie wspólnoty i doświadczenie mocy Boga w modlitwie.

Jeśli zrozumiesz te rzeczy to pojmiesz jaki winien być kierunek twoich katechetycznych wysiłków. Będziesz mógł biec we właściwą stronę.

Rozwińmy teraz te dwa elementy.

**Pierwszy sekret – wspólnota**

Gdyby przygotowanie do chrztu (a ogólnie mówiąc także katechizacja) polegało na meblowaniu umysłu – zdobyciu jedynie pewnej wiedzy, pewnych religijnych pojęć, to najlepszym sposobem byłoby dać kandydatowi dobrą książkę, dobry katechizm a potem odpytać go, sprawdzić czy się wszystkiego nauczył a następnie ochrzcić.

Na dobrą sprawę można by przepuścić delikwenta przez jakiś komputerowy test.

To się jednak robi inaczej.

Kandydatowi do chrztu, dziecku przygotowującemu się do Pierwszej Komunii, dziewczynie, chłopakowi, którzy chcą być bierzmowani, każdemu katechizowanemu, potrzebna jest wspólnota.

Człowiek potrzebuje doświadczenia, uczestniczenia, posmakowania wspólnoty. Nie chodzi o teorię i definicję, ale wejście w relacje z żywymi ludźmi, którzy wierzą w Boga.

Taka wspólnota jest pożywką wzrostu. Taka wspólnota jest tą żyzną i uprawioną glebą, na której ziarno Słowa wydaje plon stokrotny. Bez niej nie będzie żadnego sensownego przygotowania i jakiejkolwiek katechizacji.

\*\*\*

Pozwolę sobie na kolejną dygresję. Ciągle toczy się dyskusja na temat katechezy szkolnej, parafialnej i wzajemnych zależności. Co jest pierwsze, co ważniejsze, a co dopełnia? Co jest możliwe w szkole, co nie jest możliwe i dlaczego?

Irytuje mnie ta dyskusja, która zdradza brak zrozumienia od czego katecheza naprawdę jest zależna. Oczywiście warunki są ważne – lepsza będzie świetnie urządzona sala przy parafii, gdzie jestem gospodarzem niż zagracony i śmierdzący kantorek w piwnicy szkoły, której dyrektor patrzy na mnie jak na zboczeńca.

I nie o to chodzi, że brud i zimno, bo może być i taka sytuacja, że w parafii mamy fatalne warunki a w szkole komfort.

Katecheza nie zależy od miejsca, gdzie jest prowadzona, ale zależy od wspólnoty – wspólnoty katechizowanych z katechizującym i katechizowanych między sobą.

Jeśli jest wspólnota, udało się ją osiągnąć, to będzie katechizacja. Niezależnie czy to będzie parafia czy szkoła.

Jeśli nie będzie wspólnoty to możemy katechizowanych przeprowadzić przez drzwi gnieźnieńskie, zaprowadzić do prezbiterium katedry i sam biskup może do nich przemawiać, a katechezy nie będzie. Może być nauczanie (czasem nawet bardzo dobre), może być indoktrynacja, może być rekreacja, jeśli ksiądz opowiadać będzie dobre dowcipy, może być musztra, ale katechezy nie będzie. Bo nie może być. Bo nie ma warunków. Mimo, że to takie uświęcone miejsce.

Katecheza wymaga wspólnoty. Oczywiście nie jest tak, że raz mamy idealną wspólnotę a drugi raz w ogóle jej nie ma. Zwykle będzie to „jakaś tam” wspólnota – gorsza albo lepsza. Możemy więc powiedzieć, że katecheza będzie na taką miarę, w jakiej mierze funkcjonuje wspólnota.

Jeśli między katechetą a katechizowanym pękło już wszystko, przekreślono jakikolwiek autorytet i zerwano jakąkolwiek nutkę sympatii czy prostej akceptacji i jeśli katecheta dla katechizowanych jest czarnuchem, a oni dla niego bydłem, to… rozejść się! Tam nie ma i nie może być katechezy. Choćby wszyscy stali przy tabernakulum i trzymali się za ręce.

I odwrotnie. Tam gdzie stwarzane są jakieś nici porozumienia, wzajemnego zainteresowania, sympatii, autorytetu (jakiegokolwiek – choćby takiego, że ksiądz ogrywa wszystkich w ping-ponga), tam katechizacja staje się możliwa. Te możliwości stają się dużo większe, gdy więzią łączącą katechizowanego z katechizowanym stają się wyznawane wartości i wiara.

I nie ma to nic wspólnego z miejscem.

Powiem teraz jakie mogłyby być idealne warunki dla katechezy. Gdyby przyszły prześladowania i aresztowano proboszcza… i gdyby siedział w jednej celi ze swoimi parafianami. To byłyby idealne warunki do katechezy. Jeszcze lepsze byłyby, gdyby wszyscy wiedzieli, że jutro ich wszystkich powieszą lub rozstrzelają…

Jaka to by była katecheza! Jak oni by słuchali ostatnich słów księdza, jak oni by sobie przebaczali, jakby się kochali, jak ich wiara by rosła…

Dlaczego byłaby to taka super katecheza? Bo w tym momencie, między nimi, stworzona by została super wspólnota, wspólny los i wspólne męczeństwo.

I popatrz – wszystko to wcale nie w salce przy kościele, tylko w więzieniu na wiązce słomy.

Opowiem mniej dramatyczną historię…

Katechizowałem kiedyś w pewnej budowlance. Trudna szkoła, średnia ocen – naciągane 2,2. Wydział katechetyczny wprosił się do mnie z wizytacją. Byliśmy umówieni na poniedziałek a w sobotę umarł Jan Paweł II.

Pamiętamy pewnie, co się wtedy działo. To samo działo się w szkołach. W najgorszych klasach udawało się robić rzeczy nie do pomyślenia jeszcze trzy dni temu.

Dlaczego? Dlatego, że nie było nikogo, kogo śmierć papieża by nie obeszła. Było to wspólne i mocne doświadczenie, które budowało wspólnotę.

Wspólnota to taka busola w głowie. Katechizujesz? Przygotowujesz dzieci do Komunii, masz kandydatów do bierzmowania, to ustawicznie pytaj i sprawdzaj, czy to co robisz buduje wspólnotę czy ją niszczy?

To co buduje wspólnotę jest dobre i bardzo ci pomoże – nawet „haratanie w gałę” i wspólne grabienie liści. To co ją niszczy jest złe – utrudni lub zupełnie przekreśli twoje wysiłki katechetyczne – choćbyś miał najlepsze podręczniki, program, pomoce i materiały.

Jeśli dzieci czy młodzież wyczytają w twoich oczach, że ci na nich zależy – masz szansę. Jeśli wyczytają, że są zbiorem zer – nic nie zbudujesz.

I tak dalej… To można rozwinąć w grubą książkę. Jeśli jednak nie zrozumiesz samej idei, to nie pomoże ci nawet najgrubsza książka.

**Drugi sekret – modlitwa**

„Ja siałem, Apollos podlewał, lecz Bóg dał wzrost.” (1Kor 3,6) Owoc katechizacji zależy od Boga. Siejmy jak najlepiej i podlewajmy starannie, ale wzrost i owoc to Bóg.

Więc przywołujmy tego Boga, módlmy się.

W skrajnych przypadkach mogłoby się okazać, że młodzież przygotowują ateiści, którzy nie wierzą, że Bóg może w tych młodych pokazać swoją moc. Więc się dwoją i troją, wyświetlają filmy i prezentacje, nauczają i sprawdzają, zachęcają i dopingują, czasem nawet pałują i gazują.

Tylko pomodlić się jakoś zapomnieli.

Mówiąc o modlitwie mam na myśli nie tylko to, że nosimy tych kandydatów w sercu i przy okazji popołudniowego spaceru czy wieczornego pacierza wspomnimy ich czy odmówimy koronkę.

To jest oczywiście piękne i wartościowe, to trzeba robić, ale trzeba jeszcze czegoś więcej.

„Obrzędy chrześcijańskiego wtajemniczenia dorosłych” każą kandydatów egzorcyzmować. I tu jest kolejna mądrość tej księgi, czy raczej tradycji Kościoła, który przez wieki wymyślił pewne metody, które działają.

Nie chodzi tu o egzorcyzmy odprawiane przez uprawnionego egzorcystę nad opętaną osobą, ale o modlitwy wstawiennicze (egzorcyzmy mniejsze) wypowiadane w czasie spotkań przez kapłana lub przez uprawnioną osobę świecką. Gotowe teksty mamy w „Obrzędach…”

I nie tylko owe egzorcyzmy mniejsze, ale każda okazja jest dobra do modlitwy.

Gdy przygotowuję młodzież do bierzmowania to bywa, że jakiś „podpadnięty” kandydat przychodzi do kancelarii na rozmowę i reprymendę. Udzielam mu reprymendy, jestem konsekwentny, nie można być ciapowato miękkim. Ale po udzieleniu reprymendy można chłopaka lub dziewczynę zapytać: „Chciałbyś, bym się nad tobą pomodlił?”

Zawsze, czy prawie zawsze się zgodzą. Wtedy się pomódl, raczej na nikogo pospiesznie rąk nie nakładaj, ale pomódl się szczerze i spontanicznie.

Gdy skończysz i spojrzysz na kandydata, to często zobaczysz w jego oczach łzy. Nieczęsto ci młodzi ludzie doświadczają prawdziwego zainteresowania.

Jeszcze lepiej, gdy w większej wspólnocie ci młodzi doświadczą modlitwy – adoracja na rekolekcjach, modlitewne spotkanie. Nie na rozkaz, nie na komendę, ale stwarzając warunki, ostrożnie wprowadzając.

Takie doświadczenie to skarb.

Po modlitwie staniecie się sobie jacyś bliżsi. Bo modlitwa tworzy wspólnotę. I wspólnota prowadzi do modlitwy.

**A wspólnota i modlitwa prowadzi do Boga.**

I o to w tym wszystkim chodzi. To są sekrety i gwarancje dobrej katechezy, skutecznej ewangelizacji, skutecznego głoszenia kazań, przygotowania młodzieży do bierzmowania, przygotowania do Pierwszej Komunii.

To jest ten kierunek, którego warto się trzymać.

**Kilka błysków z praktyki**

Teoria jest stosunkowo prosta i oczywista. Jej zastosowanie, tego nie ukrywam, bywa trudne.

Wydaje się jednak, że ten trud i przeszkody leżą często po naszej stronie. Nam się nie chce, my mamy dość, my jesteśmy przemęczeni, nie mamy czasu, jesteśmy sfrustrowani, zniechęceni, poranieni.

Zamienia się to wszystko w pokusę, by ograniczyć się do niezbędnego minimum, zająć miejsce w koleinach, które wprawdzie do niczego nie prowadzą, ale są wygodne.

Taka postawa to jednak kapitulacja. Taka postawa zabiera jednocześnie najpotrzebniejszy przymiot naszej pracy – sens.

Warto zatem pójść pod prąd swoim wewnętrznym pokusom. Warto powrócić do pierwszej miłości swojego powołania katechetycznego, księżowskiego.

Przedstawię teraz kilka impulsów, praktyk, scen z życia parafii i szkoły.

**Katecheta i uczeń**

Ostatnie kazanie św. Jana Marii Vianney’a wyglądało w ten sposób, że z największym trudem wszedł na ambonę, ale nie mógł już powiedzieć ani słowa. Wskazał tylko ręką tabernakulum i zszedł z ambony.

Coś bardzo podobnego mogliśmy to wszyscy widzieć, gdy Jan Paweł II ostatni raz pokazał się w oknie – też nie mógł powiedzieć ani słowa. A tłum stał na placu i płakał.

O co tu chodzi? Zechciejmy to dobrze zrozumieć. Nie jest ważne co się mówi. Nie są ważne programy katechetyczne, rozkłady materiału i podręczniki.

Nie są ważne też metody i pomoce, metodyka i dydaktyka.

Oczywiście – dbajmy o to wszystko, rozwijajmy, ale zawsze miejmy świadomość, że najważniejsze jest naprawdę gdzieś indziej.

Nie jest ważne to co mówisz, nie jest ważne jak to mówisz, najważniejsze jest to, kim jesteś dla tego, kto cię słucha.

Powtórzę, bo to jest istotne. Nie jest ważne to CO mówisz, nie jest ważne JAK to mówisz, najważniejsze jest to, KIM JESTEŚ dla tego, kto cię słucha.

To nazywa się inaczej autorytet. Dzisiaj nikt nie ma go z automatu, nawet, z całym szacunkiem, Prymas Polski. Autorytet się zdobywa, autorytet się buduje. Autorytet też można łatwo stracić.

Szkoła i katecheza to obszary gdzie w niezliczony sposób można autorytet budować i tracić.

Jeśli katechizujemy i zależy nam na skuteczności, to musimy mieć autorytet. Autorytet to specyficzna forma wspólnoty, to silna więź, która łączy tego, który darzy autorytetem i tego, który autorytet posiada.

Oczywiście nie chodzi tu o jakieś wkupywanie się w łaski, tanie pochlebstwa i komplementy wobec uczniów, „żeby mnie lubili”. Tak nie zyskamy autorytetu. Takie działania to droga do straty autorytetu.

Sposoby zdobywania autorytetu w szkole i jego strata to materiał na grubą książkę.

Tu mogę rzucić tylko hasła.

Pokaż swoje kompetencje, wiedzę, umiejętności, fachowość, mistrzostwo w jakiejś dziedzinie, nawet wąskiej, niszowej. Pewna zakonnica „rozpykała” zadania z matematyki, wobec klasy, która z niepokojem oczekiwała na sprawdzian z tego przedmiotu.

Szukaj czegoś co łączy. „Ja też kiedyś grałem w kosza!” „Też lubię posłuchać takiej muzyki!” „Marzyłam dokładnie o tym samym!” Jak coś łączy to znaczy, że są jakieś więzi, tworzy się jakaś wspólnota. Oczywiście musi to być prawdziwe a nie zmyślone.

Okazuj prawdziwe i autentyczne zainteresowanie i ciekawość uczniom i ich życiu.

Podaruj im czas, to będzie często konsekwencja poprzedniego punktu.

Twórz i wykorzystuj sytuacje, w których coś możesz razem z uczniami zrobić, przeżyć. Wycieczka, zielona szkoła, rekolekcje, przedstawienie, grabienie liści, sadzenie drzew. Wspólna akcja, wspólne doświadczenia, są bezcenne.

Szanuj, doceniaj, dziękuj, wyrażaj uznanie.

Bądź sobą.

I zawsze pamiętaj, że autorytet to nie magiczny „pstryk” palcami a długi proces.

Możesz też, to wariant drugi, po prostu przychodzić do klasy, zrobić co swoje, zadać, odpytać, wystawić ocenę i zabrać się z powrotem.

Chyba jednak nie o to chodzi.

To o czym mówię nie jest łatwe, bo jesteśmy ludźmi a nie cyborgami. Mamy uczucia, które łatwo zranić, siły, które mogą być na wyczerpaniu, kłopoty osobiste, rodzinne. I tylko 24 godziny na dobę.

Ważne jednak, by mieć właściwy kierunek i ważne jest to, by zdawać sobie sprawę, które kierunki to absolutne bezdroża.

**Katecheta i rodzice**

Wariant pierwszy.

Rodzice zapisują dziecko do szkoły. W którymś momencie dostają karteczkę z deklaracją, że dziecko ma chodzić na religię. Podpisują ją razem z pęczkiem podobnych dokumentów, zgód, regulaminów.

Po pierwszych dniach nauki zapytają się dziecko, kto ich uczy religii, albo nie zapytają. Drugi wariant jest bardziej prawdopodobny.

I teraz niech się wydarzy sytuacja, że katechetka wpisała uwagę do dzienniczka i rodzic ma to podpisać.

Matka zapyta: „Co się stało?” Dziecko opowie swoją wersję: bo to, bo tamto, bo owo, a katechetka to w ogóle lata na miotle i jest nienormalna.

Wersja zostaje przyjęta, uwaga podpisana.

Wariant drugi.

Pewnych rzeczy i formalnych wymogów się nie przeskoczy, ale proszę sobie wyobrazić taką scenkę: Pierwsze spotkanie rodziców z wychowawcą. W uzgodnionym czasie wchodzi na moment katechetka – naturalna, uśmiechnięta, zadbana, uczesana, gustownie ubrana.

Wchodzi i mówi: Nazywam się Anna Kowalska, mam przyjemność katechizować Państwa dzieci. Miałam już dwie lekcje, jest naprawdę super, możecie być dumni z waszych pociech. Jeśli ktoś miałby jakąkolwiek sprawę do mnie – proszę się nie wahać – po to jestem. To mój numer telefonu. Jak nie mogę odebrać to oddzwonię.

Po jakimś czasie dziecko przychodzi z uwagą. Katechetka jest nienormalna i lata na miotle? Dzieciaku, co ty gadasz – ja widziałem – ona nie ma żadnej miotły!

Czy to zawsze skutkuje? Oczywiście, że nie! To pokazuje tylko kierunek. Im więcej cię będzie łączyło, im bardziej będziecie się znali, bardziej ufali, tym będzie lepiej, łatwiej, prościej.

Im mniej wszystkiego co łączy, co buduje więzi, buduje jakieś poczucie wspólnoty, tym będzie gorzej i trudniej.

**Ksiądz i kancelaria**

Może to dziwny wątek, jak na wystąpienie katechetyczne, ale tak naprawdę, to każde miejsce powinno dawać okazję do ewangelizacji i katechizacji.

Nie lubię określenia kancelaria, bo brzmi ono bardzo zasadniczo i urzędniczo. Niezależnie od sympatii będziemy mieć takie miejsce i starajmy się, by przychodzący do kancelarii spotkali w niej człowieka a nie wyższego funkcjonariusza kultu religijnego.

Dobrze byłoby, gdyby w kancelarii następowało spotkanie osób a nie załatwianie spraw. Inicjatywa zawsze leżeć będzie po stronie księdza.

I nie chodzi tu o to, by być miękkim, zaginać czy uchylać prawo, „by nas lubili”. Zawsze jednak można być cierpliwym, opanowanym, życzliwym, przyjaźnie nastawionym. Nawet, gdy czegoś odmawiamy, nawet gdy przychodzący wymaga reprymendy.

Od czasu do czasu pojawiają się newsy ze spotkań kancelaryjnych, na których ksiądz zostaje nagrany ukrytą kamerą.

Czy jest na to jakaś rada? Ktoś powiedział: Skoro jest tak jak jest, to każdą rozmowę, którą przeprowadzamy, powinniśmy przeprowadzać tak, jakby była nagrywana.

Może jest to wyrachowane, ale na pewno skuteczne i bezpieczne.

**Spotkania pierwszokomunijne lub przed bierzmowaniem**

Wersja pierwsza.

Ksiądz ogłasza jak wszystko będzie wyglądać. W tym ogłoszeniu padają następujące sformułowania:

spotkania obowiązkowe.

trzeba zdać … !!!!

Ze spotkań … zwalnia tylko choroba !!!!

obecność… potwierdzana będzie pieczątką lub podpisem Księdza!

dane osobowe

oświadczenie rodziców

zgłoszenie kandydatury

Kandydat zobowiązany jest…

zgodnie z miesiącami będą stawiane pieczątki

swoją obecność potwierdza podpisem księdza

swoją obecność potwierdza podpisem księdza

uzyskuje podpis księdza

uzyskuje podpis kapłana

uzyskuje podpis księdza

Potwierdza to podpis kapłana

zobowiązana jest…

muszą do końca…

To wszystko są autentyczne wyjątki z pewnego ogłoszenia.

Czy czujemy, że jest coś nie tak?

Dodajmy do tego formę przekazu. W jaki sposób te zasady będą przekazane? Będzie to forma niedzielnych ogłoszeń – ksiądz mówi, reszta słucha. Dodatkowo zasady te wrzuci się na stronę parafii lub na Facebooka. Można się zapoznać? Można!

Tylko jedno pytanie – czy gdzieś tutaj, przy okazji, mogła powstać jakaś wspólnota? Jakiś chociaż jej zalążek?

Myślę, że wątpię…

A potem jest ciąg dalszy… Przychodzi czas kolejnego spotkania. Ksiądz przygotowuje konferencję, lepszą lub gorszą, załóżmy, że lepszą. Załóżmy nawet, że wybitną.

Idą potem wszyscy do kościoła. Idzie ksiądz, idą rodzice z dziećmi czy też kandydaci do bierzmowania.

Najczęściej będzie tak, że pójdą – ksiądz i wszyscy – do tego kościoła ścieżkami, które często w ogóle się nie skrzyżują. Wierni przez bramę i główne wejście, ksiądz z plebani, wejściem do zakrystii.

Potem moment oczekiwania. Wierni w kościele, ksiądz w zakrystii. Ostatnie przygotowania, przeglądanie notatek, uzgodnienia z asystą czy organistą.

Potem dzwonek, pieśń, liturgia, paraliturgia czy po prostu konferencja. Ksiądz mówi, wierni słuchają. Przypomnę, że jest to wybitna konferencja.

Najbardziej wybitna konferencja jednak się kończy. Ksiądz wraca do zakrystii, wierni pozostają jeszcze chwilę w ławkach.

Ksiądz wychodzi swoim wyjściem, wierni swoim.

Tylko jedno pytanie – czy gdzieś tutaj, przy okazji, mogła powstać wspólnota? Jakiś chociaż jej zalążek?

Prawda jest taka, że było spotkanie, tylko uczestnicy się nie spotkali i nie spotkają. Ich ścieżki nigdy się nie krzyżują.

Nie są to absolutnie warunki do skutecznej katechizacji. Choć konferencja była wybitna! Choć wystawiony był Najświętszy Sakrament! Choć przestrzeń była tak sakralna a w oknach takie piękne witraże!

Czy to co mówię ma sens?

Wersja druga. Niech to będzie przygotowanie do Pierwszej Komunii.

Nie ogłoszenie a list. Nie czerwone pieczęcie a osobisty podpis i zaproszenie na spotkanie. Nie spotkanie księdza z pięćdziesiątką czy setką rodziców i dzieci, ale z każdą rodziną oddzielnie.

Detalicznie a nie hurtowo. Nie zza biurka, ale bez biurka, z wyjściem na spotkanie, z uśmiechem, z podaniem ręki, z zaproszeniem.

Spotkanie gdzie się mówi, ale też i słucha tego co mówią zaproszeni. Gdzie okaże się zainteresowanie, gdzie ma się przygotowany prezent dla rodziców, krówkę dla dziecka.

Spotkanie, gdzie wyjaśnia się osobiście najważniejsze sprawy. Ja mówię rodzicom, patrząc im w oczy: „nie przygotuję wam dziecka do Pierwszej Komunii”. I wyjaśniam o co chodzi w prawdziwym przygotowaniu i jak fundamentalną rolę odgrywają tu rodzice.

A potem zapraszam nie do kościoła, ale na festyn. Po to, by jeszcze bliżej się poznać, by razem przeciągać linę, zatańczyć, zaśpiewać „Jak dobrze być barankiem”, powygłupiać się, dać sobie pomalować twarz na kota czy niedźwiedzia, zjeść kiełbasę z grilla.

Pokazać i udowodnić, że jest się nie odlewem z brązu, ale żywym i normalnym człowiekiem.

A potem, w kościele, wejść tym samym wejściem. Przywitać się, zagadać, uśmiechnąć, przybić żółwika. Próbować coś zaśpiewać i śmiać się z wszystkimi jak nie wyjdzie.

Czy wychwytujemy o co chodzi?

**Pała i gaz versus wspólnota i modlitwa**

Nigdzie w Kościele nie głosi się oficjalnie przemocy, ale mentalność „pała i gaz” jest jakoś obecna.

Obecna jest choćby poprzez próby podporządkowania, zdominowania, skontrolowania wszystkiego.

Parę dni temu pewien ksiądz, poruszony i zmartwiony, jak wiele małżeństw się rozpada, napisał: „Moim zdaniem, ciągle zbyt łatwo i lekkomyślnie pozwala się na sakramentalne małżeństwa.”

Co to znaczy? Są młodzi, kochają się i chcą się pobrać, ale powinni pójść do jakiegoś kościelnego organu, pewnie jakiegoś księdza, który powie: „No ja nie wiem, muszę was przepytać, przeegzaminować, porozmawiać. Może pozwolę, może nie pozwolę.”

Ironizuję, ale problem pozostaje – kto i na jakich zasadach ma pozwalać młodym na ślub.

Po co jednak sięgać tak daleko – kto i na jakich zasadach ma pozwalać ludziom na zostanie ojcem czy matką chrzestną?

Czy naprawdę jest mądre i rozsądne podpisanie komukolwiek karteczki, że jest wierzącym i praktykującym katolikiem? Skąd my to mamy wiedzieć?

Lata temu, gdy wychodził jeszcze świętej pamięci miesięcznik „Katecheta” opublikowałem w nim pastoralny pomysł, by wszystkich wiernych zaczipować. Każdemu czip pod skórę i czytniki w kościołach, konfesjonałach.

Jasne wtedy będzie kto chodzi a kto nie chodzi, a kto się spóźnia. Kto się spowiada a kto spowiedzi unika. Komu dać karteczkę a komu odmówić, bo jego bilingi religijnych praktyk byłyby za krótkie.

Tekst miał charakter prześmiewczy z dramatycznym jednak pytaniem, czy rzeczywiście chcemy, by tak wyglądał nasz Kościół.

Moja odpowiedź brzmi: niech Bóg nas zachowa od takiego Kościoła.

Gdy jednak dzieliłem się tym przy różnych okazjach zauważałem, najczęściej skrywaną, ale jednak obecną nutę sentymentu: „W gruncie rzeczy fajnie byłoby… tak za… twarz.” Pała i gaz. Zachowaj porządek a porządek ciebie zachowa.

Tylko gdzie w tym wszystkim jest wspólnota, gdzie w tym wszystkim Kościół, którego wymiar wspólnotowy jest bardzo istotny?

Po publikacji tego tekstu, jakiś czas potem, agencje informacyjne doniosły o pewnym księdzu, który obecność kandydatów do bierzmowania sprawdzał czytnikiem linii papilarnych.

W innej parafii, to było mniej medialne, kandydaci mieli identyfikatory z kodem paskowym. Sczytywano im te kody czytnikiem, gdy wchodzili na spotkanie. Jak konserwy w Biedronce.

Czy naprawdę chcemy mieć taki Kościół?

Ja tęsknię za czymś innym.

Prawie rok temu podzieliłem się z moją parafią wizją Józefa Ratizngera, który prawie 50 lat temu mówił: „Z dzisiejszego kryzysu wyłoni się Kościół, który straci wiele. Stanie się nieliczny i będzie musiał rozpocząć na nowo, mniej więcej od początków. Nie będzie już więcej w stanie mieszkać w budynkach, które zbudował w czasach dostatku.

Wraz ze zmniejszeniem się liczby swoich wiernych, utraci także większą część przywilejów społecznych. Rozpocznie na nowo od małych grup, od ruchów i od mniejszości, która na nowo postawi wiarę w centrum doświadczenia.

Będzie Kościołem bardziej duchowym, który nie przypisze sobie mandatu politycznego, flirtując raz z lewicą, a raz z prawicą. Będzie ubogi i stanie się Kościołem ubogich. Wtedy ludzie zobaczą tę małą trzódkę wierzących jako coś kompletnie nowego: odkryją ją jako nadzieję dla nich, odpowiedź, której zawsze w tajemnicy szukali”.

(ks. Joseph Ratzinger, wypowiedź na zakończenie cyklu wykładów radiowych w rozgłośni Hessian Rundfunk, 24 grudnia 1969)

Wielu te słowa odebrało jako bardzo smutne i pesymistyczne. Jednak trzeba to widzieć inaczej. To będzie ten Kościół, w którym będzie można realnie i mocno doświadczyć tego o czy mówiłem w tym wystąpieniu.

Doświadczyć mocy wspólnoty i mocy modlitwy.

I to będzie prawdziwa Odnowa Kościoła.

Początek formularza